ZEW

Czasopismo Młodzieży Państwowego Gimnazjum IV im. Henryka - Sienkiewicza -

Rok II -- Nr 3

ROK II

ZEW

NR. 3.

Czasopismo Młodzieży Państw. Gimn. IV im. H. Sienkiewicza

Kraków, dnia 19 marca 1934.



WÓDZ

TADEUSZ ROMAŃSKI kl. VIII b.

Wodzowi w dniu Imienin.

Rok 1894. Stary zegar właśnie wydzwania godzinę 12 w nocy. Północ... Mała idebka mieniąca się od źle palącej się lampy. Wyraźnie odbija się, od mroków nocnych, ostro na tle lampy zarysowana sylwetka człowieka pochylonego w żmudnej pracy nad stołem zarzuconym różnemi dziwnemi sprzętami...

To młody bojownik o sprawę polską, Józef Piłsudski, pracuje.,. Praca Jego ma niedługo ujrzeć światło dzienne, aby dotrzeć do zakamarków duszy polskiej. „Towarzysz Wiktor“ składa pierwszy numer „Robotnika“.

A godziny mijają...

Pochylona postać pracuje wytrwale... Żadna skarga, żaden jęk nie wydrze się z jej piersi... Wreszcie postać wyprostowała się. Uśmiech radości i zadowolenia, z dokonanej pracy, zawisł na bladych wargach. Fosforycznym blaskiem zaskrzyły się bezsenne oczy. Oto praca niemal dokonana... Sny i marzenia młodości nabierają realną formę — wcielają się w czyn... I oto, pochylony nad pracą, stoi On, który pierwszy doszedł do prawdy, że rozpoczynając walkę o niepodległość Polski, przedewszystkiem trzeba stoczyć walkę o duszę społeczeństwa polskiego, zdemoralizowsną i znieprawioną przez „pozytywistów“ i „ugodowców“ naigrawających się z hasła Niepodległości i propagujących organiczne wcielenie się w państwa zaborcze — zrozumiał, że w państwie knuta i więzień, wśród strasznych wizji tajg Sybiru, walkę tę można stoczyć tylko przy pomocy prasy nie uznającej cenzury.

I oto podjął się tej ciężkiej misji i w tem kierunku skupia wszystkie swoje wysiłki.

Młody bojownik zbliżył się do okna. Złociste promienie księżyca zasnuły kaskadą swych jedwabistych nici, Jego zadumaną twarz.

Płomienne oczy cofnęły się wgłąb...

Wpatrzony w wizję przyszłości sni sen. Blade wargi rozchyliły się w uśmiechu błogiego szczęścia...

Oto widzi ten naród, który tak ukochał — dla którego cel swego życia poświęcił, wolnym, niepodległym .. i widzi te olbrzymle tłumy z miłością garnące się do Niego...

Zwolna, tarcza złocistego księżyca skryła się za gruby splot chmur. Cudowne sjawisko znikło...

I oto, stanęła przed Nim twarda, nieugięta rzeczywistość... I wielka słabość tego Narodu. Widzi kibitki długim szeregiem mknące hen... na Sybir, Widzi jak na jawie, te bezsilne czyny powstańcze bezsilnego Narodu. Widzi katorgi przepełnione męczennikami Ojczyzny...

I wtedy serce Jego ścisnął skurcz bolesny. Opadło czoło bezsilnym ruchem na zimną taflę szyby...

Lecz oto nagły krzyk wyrywa się z głębi Jego jaźni. Nie! tak żyć nie można! Żyć wolno lub zginąć!

Lecz umierać trudno. Trzeba żyć — lecz żyć jak każdy wolny naród. A do wolności poprowadzi ich On.

Otrząsnął się... Oderwał rozpłomienienią twarz od zimnej szyby. Oczy zaskrzyły się dawnym, nieugiętym, stalowym blaskiem. Zrozumiał swoją misję.. swoje posłannictwo... Lecz nie uląkł się jej ogromu. On postanowił „wywieść swój naród z niewoli“...

Lata mijają...

I znowu widzimy Go, w małej izdebce chaty wiejskiej pochylonego nad stołem zarzuconem mapami.

Postać Jego zdobi szary mundur sztrzelecki. Postanowienie lat przeszłych wprowadza w czyn...

Oto widzi przed sobą te tysiące, bojowo wyszkolonej i owianej gorącą miłością uciemiężonej Ojczyzny, młodzieży.

Tę miłość On sam wszczepiał w ich młodociane dusze Dlatego nie zawiodą go, gdy godzina czynu wybije...

Oto dzień 6 sierpnia 1914 roku...

Zaludniły się błonia podwawelskiego Grodu. Dzień to historyczny. Karnie stoją długie szeregi oddziałów strzeleckich. Dziś przemawia do nich On — ich wódz. Krótkie i żołnierskie Jego słowa. Zapala ich młode serca i usposabia na śmiertelny bój...

Lata pożogi dziejowej minęły, a sen młodości Jego został spełniony.

I oto teraz znowu, jak ongiś, z wysokości trybuny wodza narodu patrzy na długie szeregi kawalerji polskiej płynące u stóp Jego po tych samych błoniach Wawelskiego Grodu. I widzi tę kawalerję polską... a poza nią, wolną Ojczyznę, opartą o silną armję — Jego dzieło...

I uśmiech radości, jak ongiś przy pierwszych latach swej pracy, wypełzł na Jego usta. Wyprężyły się wiekiem pochylone barki. Oto widzi, że misja Jego spełniona.

Dał narodowi swemu wolną Ojczyznę.

I dziś, w dniu Twych imienin, stajemy przed Tobą — Wodzu, my młode pokolenie przyszłe na świat... wśród echa huku armat i pękających granatów... wśród pożogą wojny objętej Polski... stajemy, by Ci przyrzec, że dzieła Twego nie zagubimy, że będziemy dalej kontynuować Twoje idee, i że patrząc na Twoj przykład, nauczymy się pracować dla dobra przekazanej nam przez Ciebie Ojczyzny. A ty nas prowadź!

JULJUSZ WARSKI kl. VIII b.

Prof. Ignacy Mościcki.

W ciemnych głębiach szumiących odwieczne pieśni borów, walczyła garść bohaterów. Zmagała się i ginęła zdala od ludzi, pośród roztoczy zdradliwych bagien Polesia. Walczyli powstańcy o wolność naszej Ojczyzny. Owiani wichrem uniesienia, prowadzeni świetlaną gwiazdą ideału, lali swą krew ofiarną, rzucali swe młode życia na szalę szczęścia Narodu. Zgnieceni przemocą tysięcy cofali się w niedostępne tajnie z rozdarą piersią, rozpaczą w sercu. Lecz przez opary krwawych mgieł, oczy przysłaniających w męce konania, błyszczała aureolą Polska Wolna, Niepodległa. Lśniła słonecznym mirażem, cofając się w przestrzeń, ginąc w mrokach. Upadli...

Garść wróciła do rodzinnych zagród przynosząc z sobą legendy o nieznanych bohaterach.

I.

W świecie tych legend wzrastał urodzony 1 grudnia 1867 roku w Mierzanowie, w Płockiem Ignacy Mościcki. Zasłuchany w nie, przejął się krzywdą Narodu polskiego. Ich słowa głęboko zapadły w jego dziecięcą duszę. Toteż widząc naocznie represje stosowane w szkołach średnich w Warszawie, postanowił rusyfikacji młodzieży przeszkodzić. Wraz z garścią podobnych jemu idealistów zawiązał koleżeńskie stowarzyszenie. Młodzieńcze umysły wyczarowały z przeszłości świetność Wolnej Polski; ku niej skierowali myśli swe i dążenia. Ona — dla nich — stała

się ideałem wziosłym, świętym; lecz dalekim. Ona lśniła blaskiem gwiazdy przewodniej w ciemnej nocy niewoli! Ona była słońcem, które dało siłę ich duszom i poprowadziło ich na wyżyny! Hart woli, niezłomne postanowienie walki z najezdzcą, oto co wynieśli z studenckich czasów.

Przeszli już gimnazjum, otworzyły się przed uimi bramy życia. Ruszyli w świat szerzyć swe ideje. Mościcki zapisał się w poczet słuchaczy działu chemji technicznej politechniki w Rydze. Zjednawszy sobie garść kolegów, postanowił podzielić się z nimi swemi uczuciami, dać im to co sam zdobył: Głęboką miłość ojczyzny i wiarę, że ona „Jeszcze nie zginęła“.

Rozpoczął walkę o serca, walkę dla wielkiej Idei, idei Wolności. Porwał głębią uczucia i siłą ducha kolegów, stał się ich przodownikiem, ostoją, wsparciem. Wpoił w wielu miłość Ojczyzny. Bystre jednak oko szpiegów rosyjskich, dostrzegło niepokojące objawy patrjotyzmu wśród studentów-Polaków, wyśledziło ich przewodnika. Mościcki musiał opuścić granice Rosji i chroniąc się przed prześladowaniami udać się na nieznane szlaki świata, pędzić życie tułacza. W tym przełomowym momencie zrozumiał, że nietylko konspiracyjną pracą polityczną służyć można Polsce; zrozumiał, że praca dla siebie, zdobywanie głębokiej, prawdziwej wiedzy, też jej korzyść przyniesie. Ojczyzna potrzebuje ludzi światłych, mądrych, Postanowił zupełnie oddać się nauce a zdobytą wiedzę złożyć ofiarnie na ołtarzu Ojczyzny. Wyjechał do Londynu.

Nad sennym nurtem Tamizy w mglistej stolicy Anglji, pędził twarde życie Polak-wygnaniec. Pracując ciężko na własne utrzymanie studjował równocześnie chemję w Technical College. Odmawiając sobie najmniejszych przyjemności, osiągnął upragniony cel. Wyspecjalizował się w dziale chemji technicznej. Chociaż przez ten pięcioletni okres pobytu w Londynie zawładnęła nim wiedza, pamięć pracy narodowej nie wygasła, spotęgowała się jeszcze. Życie wychodźców Polaków w dalekiem królestwie Wielkiej Brytanji koncentrowało się w P. P. S. Działali w niej ludzie wielkiego znaczenia. Tam złamaną rozłoką z krajem duszę Mościckiego napełnił nową falą siły Józef Piłsudski. On odkrył w Mościckim wielkie zalety, obdarzył go swą przyjaźnie, wskazał mu nowe hasła, nowe ideały. Jego ramieniem wsparty spojrzał nasz Prezydent śmiało w przyszłość.

Nadal jednak zostało jego dążeniem dostać się bliżej ziemi rodzinnej.

Tęsknota gnała go ku Ojczystym zagonom.

— — — — — — — — —

Szwajcarja była wówczas rajem wychodźców. Lud gór, od młodości patrzący na lśniące pancerze lodów, okrywające szczyty Alp, na płaszcz lasów spływających ze stoczy w szmaragd kobierca dolin, na srebrne wstęgi szumiących strumieni, błękitne tafle jezior, ukochał swój kraj i strzegł jego wolności. Znał jej cenę. Mościcki ocenił wolność Szwajcarji i przy poparciu prof. Wierusz-Kowalskiego został asystentem katedry fizyki na uniwersytecie we Fryburgu. Otwarły się przed nim dalekie perspektywy. Postanowił wytężyć swe siły, wybić się na pierwszy plan. Rzeczywiście jego intensywna praca dała upragnione owoce, Został kierownikiem działu wynalazków w dziedzinie elektrotechniki i elektrochemji. Szwajcarzy poznali się na nim, zdobył uznanie przełożonych i współpracowników. Znalazł się w swoim żywiole. Wielki umysł z łatwością przenikał zagadnienia praw fizyki. Dnie całe spędzał w labolatorjach udoskonalając swe wynalazki, a zwłaszcza nową metodę otrzymania stężonego kwasu azotowego. Powstały w Szwajcarji trzy fabryki produkujące związki chemiczne jego metodami.

Specjalne zakłady zbudowane dla wyrabiania kondensatorów na prąd o wysokiem napięciu, wynalazku któremu poświęcił połowę sił. S.ał u szczytu niemal swej karjery.

I wtedy wieść wielka, radosna! W roku 1913 został powołany na katedrę elektrochemji na politechnice lwowskiej, Po dwudziestu latach tułaczki pełnej gorączkowej pracy, zgryzot i cierpień, wracał do rodzinnej ziemi. Ze łzami powitał sine zarysy Tatr, na tle pogodnego polskiego nieba.

II.

Głuche wstrząsy dawały się odczuć w świecie całym. Europa podminowana czekała iskry, aby stanąć w ogniu walk. I ta iskra padła. Runęła w świat pożoga wojny, niszcząc wszystko Łotem błyskawicy rozprzestrzeniła się po świecie, zrywając narody do morderczej walki. Krew ją tylko ugasić mogła, w morzu krwi mogła utonąć jej potęga. Zalśniły szeregi bagnetów blaskiem złowrogim. Runęły na siebie ławice ludzi. Ostrza utonęły w piersiach bliźnich. Rzeki krwi spłynęły, zraszając żyzne pola, obszary lasów, granitowe stoki gór, zmieszały się z wodą jezior, oblały niebo odblaskiem purpury.

Polacy skorzystali sprzyjającego momentu. Oswobodzona Polska stanęła na progu nowego bytu. Naród zrozumiał, że trzeba wytężonej, ciężkiej pracy, by jej dać możność rozwoju i zupełnego bezpieczeństwa, Od szczytów Karpat po szmaragd fal Bałtyku zawrzała gorączkowa robota.

Profesor Mościcki — pracował. Zamknięty w dusznych salach doświadczalnych badał, tworzył. Wiedział już, że wytęża swe siły dla własnej ziemi, więc siebie całego zdobyczom techniki oddawał.

Państwo odebrało od rządów zaborczych fabryki. Największą z nich niemal była fabryka związków azotowych w Chorzowie Trzeba było światłego kierownika. Któż lepiej mógł się nadawać, niż twórca fabryki azotanu amonu w Jaworznie, Profesor Ignacy Mościcki — Jego powołano na to odpowiedzialne stanowisko. Wywiązał się z zadania doskonale. Gdy poraz pierwszy wkroczył w hale pracowni, wiało zewsząd pustką, tajemnicza cisza przygniatała piersi. Fabryka martwa zdawała się być straconą. A w dwa tygodnie potem jej kolos tętniał życiem, pracownie pulsowały przyspieszonem tempem. Wszędzie znać było silną rękę, doskonałe kierownictwo. Wprowadziwszy swoje metody i ulepszenia rozwinął Prof. Ignacy Mościcki zakłady wspaniale. Uznał jego zasługi Prezydent Rzeczp. Wojciechowski i 2 maja 1924 roku nadał mu gwiazdę orderu Odrodzonej Polski,

W dwa lata potem widzimy go już Prezydentem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Cóż wyniosło go na tę godność? Jego własnę zasługi!

Naród umiał ocenić pracę i serce,

Odpowiedzi Redakcji.

St. Berger: »Dziecko Marji« — nie skorzystamy, „Mądry i głupi“ zamieścimy.

Emil Firlit: „Nie damy morza“ nie skorzystamy.

J. Waszkiewicz: „Kolędnicy“, „Przez życie“, „U stóp Wawelu“, „Ten dziewiętnasty“, „Wypracowanie Janka“ nie skorzystamy.

Z. Hausner: „W noc styczniową“ nie skorzystamy.

Ignotus: „Cień“ zamieścimy.

Znaczenie zdrowia fizycznego i moralnego dla potęgi państwa polskiego.

Napisał
KAROL DURA VIII a.

Starożytni Grecy dbali przedewszystkiem o wychowanie fizyczne młodzieży. Już po urodzeniu dziecka jego siły brane były pod uwagę, bo ojciec miał prawo orzeczenia, czy dziecko ma być zachowane przy życiu, czy też zabite. W Sparcie, kaleki i słabe dzieci zrzucano ze skały Tarpejskiej. Wychowanie publiczne stanowiła gimnastyka ćwicząca siły fizyczne. Wykształcenie duchowe, mniej było brane pod uwagę w Sparcie, więcej w Atenach, ale i w tem celował naród, który taką wspaniałą kulturę za sobą pozostawił. Wychowanie fizyczne wyrabiało: siłę, zręczność, dzielność, śmiałość i bohaterską odwagę, — to też igrzyska należały do najwspanialej obchodzonych uroczystości, a zwycięzcy korzystali z licznych dobrodziejstw państwa, a przedewszystkiem byli przez państwo utrzymywani. Był zwyczaj, że zwycięzcę wnoszono do miasta nie przez bramę, ale przez otwór wybity umyślnie w tym celu w murze, aby zaznaczyć, że niepotrzebne są mury dla miasta, które ma tak silnych obywateli. Sławiono też siłę fizyczną i śpiewano pieśni na cześć zwycięzców. Cześć im, oddawał Pindar w odach i inni. Po dzień dzisiejszy sławimy 300 bohaterów, którzy przeciwko armji Persów, stanęli w wąwozie termopilskim. a chwała Maratonu, i naszych obrońców ojczyzny zagrzewała. I u nas siła fizyczna znaną i ocenianą była.

Czemże były owe turnieje średniowieczne, któremi młodzież rycerskich rodów popisywała się wobec królów, magnatów i pań swojego serca zebranych na krużgankach Wawelu, jak nie dowodem zręczności i siły tak potrzebnych Polakowi.

Znamy dobrze z powieści Sienkiewicza postacie Zawiszy Czarnego, Poważy z Taczewa nieurojone, ale rzeczywiste, prawdziwe.

Takich zastępy poprowadził Jagiełło przeciwko Krzyżakom i dzięki takim zakon u stóp swoich rozciągnął. Czyż nie było to zwycięstwo godne Maratonu? Czyż nie nowożytnemi Termopilami, Rarańczą? Zahartowani fizycznie, wytrwali, bohaterscy, szli zwyciężyć lub zginąć, a w boju walczyli nie tylko siłą ramienia ale i mocą ducha. Pamiętali pięśń polskiego Tyrteusza - Mickiewicza, że:

„Własne tylko upodlenie ducha
Ugina szyję wolnych od łańcucha“.

Jak Spartanie pod egidą kulawego śpiewaka szli zerwać łańcuchy niewoli!

Kiedy wyrocznia w czasie wojen Meseńskich przepowiedziała Sparcie, że zwyciężą, jeżeli poprowadzili ich wódz Aten, Spartanie zwrócili się do Aten z prośbą o niego. Ateńczycy w zawiści o sławę, przysłali im kulawego Tyrteusza, w przekonaniu, że ten wojsk nie poprowadzi. Ten zaś pieśnią tak zagrzał serca walecznych Spartan, że pod jego przewodnictwem wspaniałe odnieśli zwycięstwo. Tutaj widzimy, jak ważnym jest w bohaterstwie czynnik duchowy. Bo nie tylko siła fizyczna jest potęgą. Musi ona iść w parze z wielkością ducha,

Obserwujemy dziś niezwykły wzrost zainteresowania sprawami wychowania fizycznego i sportowego. Swiat żyje pod hasłem sportu. Prasa jest na jego usługach. Rozwija się teorja sportu i śpiewają hymny poeci.

Przed wojną inteligencja nie miała czasu na sport, to też stan fizyczny ogromnej większości pracowników umysłowych wiele pozostawiał do życzenia.

Charłactwo ciała, znaczna śmiertelność u dzieci i młodzieży, zwróciły wreszcie uwagę na niebezpieczeństwo i kazały szukać źródeł ratunku. Nastąpił wszędzie zwrot. Ludzkość zaczęła uprawiać racjonalną kulturę fizyczną, a wojna światowa dowiodła jak wiele znaczy zahartowanie i należyta zaprawa. Szczególną harmonję w rozwoju ciała i ducha kultywują związki harcerskie. Jerzy Gutsche, wspomina, że w roku 1920 kilku harcerzy zgłosiło się w czasie obrony Lwowa w szeregi obrońców. I skoro przyszły te male żołnierzyki i zaśpiewali: „Rozkwitnęły pęki białych róż“ i „o Polsce co powstała by żyć“ przywrócili pogodę i energję w wojsku i przyczynili się do zwycięstwa.

(C. d. n.).

Podróż wielkich łowców.

T. Rohrenscheft kl. VIII b.

Stef, wstawaj! — rozległ się głos w ciszy nocnej, której urok mąciło ujadanie ochrypłe starego Zagraja i cieńsze piskliwsze Nary.

— Stef! Wszystko przygotowane. Wstawaj! Julek stał pod otwartem oknem pokoju brata i wołał nań trwożnym z emocji głosem.

— Idę! — Piła śpi?

Śpi! Jakby mu makówek nagotowano, mama i tatuś też, nawet w czworakach ciemno. Chodź prędko, łódź czeka w krzakach na rzece. A zapasy masz spakowane? — ozwał się Stefek, gdyż pomimo całej walecznej męskości lat trzynastu, miał bardzo delikatne podniebienie i szybko buntujący się żołądek.

Postać pod oknem zaczęła niecierpliwie ruszać się, jakby w miejscu niemogła ustać.

— Są! nawet konfitury poziomkowe, miam, miam, duże kiełbasy, zresztą zobaczysz!

— Morowo! I Stefek wykonawszy salto przepiękne z parteru osiadł na trawniku i chcąc prędko ratować honor swej zgrabności zaczął niepotrzebnie jeszcze raz rozwiązywać sznurówki i zawiązywać, mocno zajęty wykończaniem toalety...

Obaj chłopcy jak duchy przemykali pomiędzy drzewami przez ogród ku upragnionej rzece. Julek jako starszy o rok, był przewodnikiem wyprawy „Wielkich łowców szlakiem dzikiego łososia“. Powinni jeszcze odmienić sobie imiona na takie, jakie nosili bohaterzy Maya n. p. „Pocerowana pończocha“, „Orli nosorożec“ czy też podobne, które zwykle miały jakieś tajemnicze symboliczne znaczenie. Jednak do tego nie doszło i wskutek sporu o dobór imion Julek projekt odrzucił, zresztą uważał, że się mylą i mieszają je, że nawet miało być „Skórzana pończocha“ lecz Stefek się upierał...

Chłopcy dobiegli do zarośli nad rzeką, odwiązali łódź i wskoczyli pomiędzy pakunki z zapasami ściągniętemi starej Migdalskiej ze spiżarni. Na dnie łodzi były jeszcze dwa trochę nadwyrężone garnki, patelnia, zwój sznura i co najważniejsze dwie wartościowe fuzje, których lufy sterczały groźnie poza burtę barki.

— Stef! Rany Boskie! Wioseł niema! Zapomniałem, że je Pękalski zawsze chowa od czasu jak wywaliśmy Helenkę do rzeki, by przyjęła „chrzet morza“. Czekaj w lamusie są dwie łopatki do mieszania powideł, nawet mają długie rączki! W parę chwil pomysłowy młodzieniec wracał żonglując

łopatkami, niosąc jeszcze tyczkę od grochu.

Dwaj „Wielcy łowcy“ ruszyli na szlak „Dzikiego łososia“... Z początku niebardzo szło wiosłowanie prymitywnym przyrządem, lecz Stefek odrazu wpadł w rolę „Orlego nosorożca“, czy tam inaczej, i przekonywał Julka, że przecież łowcy ostatniej przeczytatanej powieści musieli moc niewygód i trudności pokonywać.

Płynąc tak, pocieszali się nasi wioślarze a raczej łopatkarze...

— Stefek! Jak myślisz, jaką minę będzie miał „Piła“ rano, gdy wejdzie nas budzić? — No młodzi ludzie czaas do pracy — przedrzeźniał nosowy głos nauczyciela domowego — to mi praca kuć dwie godziny dziennie; sum ist sunt! hm!... Praca to walka z dzikim żywiołem, podróże dalekie, łowy! hm! — Przecież „Czarny Sęp“ napewno nie umiał łaciny? — spytał trochę niepewnie Stefek.

— Głupiś padła ostra odpowiedź „Wodza“.

Nagle ciszę przeciął wrzask rozpaczliwy Stefka.

— Ju... Ju... Julek, tysiące mrówek łazi mi po rękach! — chłopiec zaczął rzucać się, trzepiąc dłońmi.

Julek odłożył „wiosła“ zaświecił zapałkę, badawczo wodził wzrokiem, wtem ryknął — ach pało! przecież rozdarłeś torbę z mieloną kawą i jeszcze rozgmyrałeś łapami. Mrówki! Uf!

— A ty co zrobiłeś mądralo, popatrz! — Tu skonsternowany Julek spojrzał za kierunkiem wzroku brata i ujrzał widok powodujący nagromadzenie ślinki w ustach i rozpaczy w sercu.

Oto umieszczone na dnie łodzi dwa słoiki sławetnych poziomkowych konfitur stały dumnie dnem do góry a z pod nich lała się struga przesłodkiej cieczy.

— Baba! odciął się — będzie płakał za konfiturami, może ci dać pianki? Lecz tu Julek mimowoli przełknął ślinę i przymknął oczy. O słabości ludzka! Dlaczego i najdzielniejsze dusze nawiedzasz?

Po jakiem takiem naprawieniu szkody chłopcy ruszyli w dalszą drogę. Już mieli przepłynąć ostatni zakręt dokoła dworu i opuścić na zawsze rodzinny Bungalow, gdy nagle w dusze ich wkradł się niepokój — a nawet strach i to porządny.

Jakiś dziwny ruch w parku i światła we dworze.

— Juulek, Steeefek!... Gdzie wy!

— Rany Boskie Piła się obudził, przeczytał mój list pożegnalny, są na tropie, psy nas zwąchają. Że też przystani nie obraliśmy za dworem tylko przed, dlatego dopiero tu jesteśmy. Wszystko stracone

Poza zakrętem. wikliny nadbrzeżne zrzedły. Widok na obejście dworu był otwarty i jasno oświetlony księżycem.

Pośród drzew, jakiś pochód widm, krzyczących wniebogłosy. Mama płakała i wołała po imieniu chłopców, ojciec energicznie poszukując niewiadomo czemu mówił: smyki, smyki! — Dalej toczyła się Migdalska w bieli i wyła wycierając nos w zastępstwie fartucha nocnym kaftanikiem. W przerwach szlochu powtarzała tonem deklamacji — i konfietury wzięły, kiełbasę wzięły, niebożątka i w świat uciekłszy... A ten fałszywy Zagraj! Tego mu Julek nigdy nie wybaczy... Zagraj biegł, bestja, przed pułkiem parobków dworskich uzbrojonych w latarnie. Jak potworne robaczki świętojańskie. Szli prosto nad rzekę...

Są! Są! — Wrzask stał się już niesamowity, jedynie chłopcy nie brali w nim udziału, czy ze strachu, czy też z żalu, Przymknąwszy oczy skulili się na łódce, która przeznaczeniem powodowana wbiła się dziobem w brzeg — zdrajczyni i równomiernie balansowała stojąc w miejscu.

— Niech się świat zapadnie, niech się dzieje co chce! myślał Julek.

Wszystko przez te „mrówki“ —

pomyślał Stefek.

Nagle świat się odmienił samochcąc w ich duszach, marzenia „Wielkich łowców“ znikły gdzieś... Miękkie ramiona mamusi otoczyły ich.

— Stefuś, Julek, coście chcieli zrobić?

Ciężka prawda rzeczywistości wbiła się wyrzutem w serca. Komizm sytuacji i wstyd z tego powodu i wreszcie godna uwagi obowa przed tatusiem. Żądza przygód awanturniczych, ambicja postawienia na swojem, wreszcie nawet złość do „Piły“ znikły pod wrażeniem bliskości mamusi.

Fala miłości zalała ich serduszka.

...A tatuś, na którego z pod oka patrzyli nastroszył brwi i wąsy, zdaje się dyskretnie za sobą upuścił coś podobnego do kija. Kryjąc uśmiech zbliżał się do nich powtarzając — ja wam smyki, ja wam smyki...

CHÓR

Motto:

Chormeister werden ist nicht schwer
Chormeister sein, dagegen sehr.

Tym, którzy mają szczery zamiar zostać twórcami chóru, lub podobnie śpiewnego towarzystwa, ku przestrodze i nauce, piśmidło to, pozbawione wszelkiej pretensji poświęca: autor.

Było to w Lemieszycach. Zbliżał się dzień 23 czerwca a z nim imieniny żony aptekarza, człowieka zacnego i poważanego ze wszech miar, jako że połowica zdolnego piguły, nosiła imię: Agrypiny. Panu Kłaczkowi, organiście miejscowemu, powierzono misję zorganizowania chóru, któryby zaśpiewał kilka utworów, na cześć znakomitej solenizantki, pod oknem jej domu. Pan Walenty Kłaczek był bardzo zarozumiałą 20-letnią istotą. Niski, chudy z kanciastą głową, której włochate nasilenie było niesłychanie znikome, pendzelek rudych kłaczków pod nosem, wreszcie gałki oczne, robiące wrażenie, jakgdyby nazewnątrz raczej wolały iść niż do wnętrza. Człowiek jednakże o wysokich aspiracjach muzycznych.

Przez cały dzień tedy gonił Kłaczek po mieście, werbując wśród „letniaków“ młodych ludzi do przyszłego chóru. Wkońcu po długich a uciążliwych zabiegach, opatrzony siedmioma typami, wchodził pan Walenty pełen dumy i powagi w progi swego domu.

Pierwszy, który podążał za panem Kłaczkiem był jego bratanek Filipek, chłopak fenomenalnie głupi, z uśmiechem matoła na ustach. Za nim sunął Józek Bracławski, wysoki drągal, długi, centkowany na gębie, jak wąż boa. Obok toczył się Franciszek Walzer, niski grubasek z włosami na jeża, sepleniąc coś do barczystego bruneta Sergjusza Dunina o wyglądzie hrabiego z linjami czarnych baczków po obu stronach twarzy. Na końcu szli bracia Rosenbuschowie, dwaj „cywili, gęby zakazane, włosy jak badili“. Wreszcie rumiany blondyn, Konrad Narewicz.

Mieszkanie pana Kłaczka składało się z dwóch pokoi. Jeden był długi, ciemny jak ślepa kiszka, z jednem oknem. W środku sterczała leciwa fisharmonja pamiętająca Kolumba, w rogu wąska szafa z figurką Wenus bez głowy. Obok szafy stół, do złudzenia przypominający katafalk, oraz kilka krzeseł we fragmentach. Na ścianach obrazki wątpliwej treści, oraz duża makatka, przedstawiająca tak samo dobrze pożar na Solcu, jak i Orfeusza w piekle lub rzymską kuchnię polową. Drugi pokój nie był ciekawy, jako że światła dziennego w zupełności pozbawion — robił wrażenie raczej gro-

bowca, niż kłaczkowatej sypialni. Jasnymi punktami byli kanarek wiszący przy oknie w olbrzymiej klatce i bezczelnie rudy kocur, drzemiący w kącie. Ów cmentarny wygląd mieszkania organisty oddziałał na wszystkich grobowo. Sam pan Walenty był jedynie tak uradowany, jakgdyby go żywcem do nieba zabrać chciano.

— Panowie tego... zaczynamy — zawołał, skoro wszyscy byli zgrupowani wokół fisharmonji — i począł dmuchać w jakąś rurkę jak nadęty, nakazując każdemu w podobny sposób odśpiewać. Tak zabrał się pan Walenty do podziału na głosy. Chór zapowiadał się imponująco, mieli bowiem śpiewać na tyle głosów, ilu ich było. Wszystko szło jak z płatka.

Jedynym mniej udanym typem w gronie dostojnych śpiewaków był Narewicz. Kłaczek bowiem, po zanalizowaniu jego głosu, zmarszczył brwi, zawirował oczyma i rzekł:

— Pan może śpiewać, dlaczego nie, ale tylko od czasu do czasu, nie zawsze, niech Bóg zachowa.

Filipek zaśmiał się jak chomik i zmarszczył nos, z czem wyglądał na buldoga. Narewicz spojrzał na niego strasznie i gdyby wzrok Konrada był czemś ostrem, napewno młody Kłak byłby podziurawiony jak druszlak. Tymczasem pan Walenty otworzył średniowieczną fisharmonję i rzekł:

— Zaśpiewamy pieśń mego układu — tu uśmiechnął się znacząco wodząc wzrokiem wokół siebie — a tu tekst — mówił, wręczając każdemu, z wyjątkiem Narewicza, wymiętoszony świstek papieru.

Kłaczek niejako łaskotał klepki fisharmonji, zebrani udawali że śpiewają. Narewicz obrażony śmiertelnie byłby ten lokal niechybnie opuścił, pałał jednak żądzą gniewu i zemsty. Piegowaty Józek trzymając kartkę z głupawą piosenką trząsł głową, jak człowiek chory na trzęsiączkę, przyczem nabierając w płuca powietrze, podrzucał ramionami tak, że obojczyki dotykały uszu. Gruby Franek stojący za nim, chcąc coś dojrzeć, musiał stawać na palcach i brodę swą złożyć na ramieniu przyjaciela, o wzroście konkurującym z anteną. Sam zaś śpiewając otwierał usta, jakgdyby gryzł coś dużego i niesłychanie twardego. W pewnem miejscu melodja była zbyt wygórowana, wymagała zatem szybkiego nabrania powietrza. Długi Bracławski zrobił to rzeczywiście, ale w sposób bardzo raptowny. Gruby Walzer nie zdążył zdjąć brody z ramienia swego towarzysza i silnem uderzeniem dostał w szczękę, aż zachrobotało. To też złapał gębę w garść, pokręcił nią kilka razy i nagle wypluł kawałek czegoś czerwonego.

— Odgryzł język! — wrzasnął Narewicz na całe gardło. Chór zelektryzowany zamilkł i oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę. Gruby Franek jednak podniósł ze ziemi to, co wypluł i najspokojniej w świecie włożył z powrotem do ust. Nie był to ogryzek z języka, lecz guma do żucia. Kłak spiorunował obydwóch strasznym wzrokiem, a następnie milcząco wskazał im drogę najbliższą do wyjścia. Wysoki chłop łypnął oczyma i westchnął głęboko, uderzając przy tej sposobności grubego przyjaciela, tym razem w żołądek. Franek zwinął się jak naleśnik i wyszedł za Józkiem. Pozostali chórzyści spojrzeli po sobie jak głupki. Narewicz jednak działał. Pokolei szeptał coś każdemu, pomijając młodego Kłaczka, na co otrzymyał poważne przytaknięcie głową.

Pan Walenty dalej zabrał się do grania, tym razem okropnie fałszywie. Barczysty Dunin zatkał sobie uszy rękami i zawołał:

— Że ta muzyka ucha mi nie wyrwie, to tylko dlatego, że przytrzymuję jedno i drugie rękami — panie kochany — dodał, przyskakując do fisharmonji — to chyba się tak gra! — i uderzył w klawiaturę tak silnie, że

ze średniowiecznej skrzyni wypadło kilka klapek. Kłaczek był wściekły. Nikt się nie spodziewał, aby tak prędko z jakiegoś instrumentu leciały kawałki.

— Wandaluch! bestja — ryknął pan Walenty i w krótkich, lecz dobitnych słowach polecił mu zamknąć drzwi z drugiej strony. Dunin przyjął propozycję z miną Napoleona i wyszedł, nie omieszkając zabrać ze sobą tych kilku klepek na pamiątkę. Pan Walenty w celu uspokojenia nerwów wyszedł do grobowej sypialni. Tymczasem bratanek jego syknął złośliwie Narewiczowi:

— Ale też z was hołota...

Konrad nie rzekł nic, spojrzał jedynie porozumiewawczo na braci Rosenbusch. I w tej chwili Filipek, złapany przez trzy pary silnych rąk, otworzył sobą drzwi, wiodące na ulicę, w sposób szybki i energiczny. Starszy Rosenbusch porwał stojący na oknie kaktus i wyrżnął nim za wylatującym, wołając:

— Masz kanaljo hołotę!

Doniczka, nie osiągając zamierzonego celu, rozleciała się z hukiem na proszek. W całym pokoju panował ruch ożywiony, w czasie którego klatka z kanarkiem spadła na ziemię. W tym momencie wpadł pan Walenty zły i czerwony jak ćwikła. Spojrzał wzrokiem tak strasznym, że omal oczy nie wypadły mu na podłogę. Widząc kaktus w strzępach i rozwaloną klatkę, w której, prócz dwóch piórek, świadczących, że kiedyś był tam kanarek, nic nie było, wyrzucił obu Rosenbuschów i oblizującego się bez przerwy kocura. Po chwili Kłaczek uspokoił się i siadając do klawiatury wyszczerbanej fisharmonji, rzekł: Spiewamy dalej!

Narewicz naprawdę zdziwiony spojrzał na niego, w pokoju bowiem oprócz nich nie było nikogo.

— No dobrze — rzekł — ale ja mam śpiewać od czasu do czasu, nie zawsze przecież. Ewentualnie mogę, ale to będzie dość ciekawe.

Kłaczek spojrzał dziko, wreszcie westchnął i opadł na klawiaturę leciwego instrumentu, wyłamując przez to dwie następne klapki.

— Gdzie moja praca — jęknął — z całego chóru została mi tylko jedna idjota, nie umiejąca całkiem śpiewać.

Pod ciężarem tego epitetu Narewicz skurczył się jak rtęć przy mrozie biegunowym.

— Gdzie jest mój kaktus? — jęknął dalej Kłaczek — gdzie mój kanarek?

— Na drugim świecie, a ściślej biorąc to w brzuchu kocura.

— Ach — wzdychał Kłaczek, udając że nie słyszy — gdzież mam swe klepki? — Tu spojrzał na fisharmonję.

— W każdym razie nie w głowie — zawołał Narewicz i korzystając z otwartego okna, wyskoczył tamtędy na ulicę. Za nim wyleciał rzucony ręką Kłaczka kaktus. Narewicz zdążył złapać w powietrzu doniczkę, uchraniając przez to kaktus od zagłady.

Do dziś dnia przechowuje tę „szpilkową“ roślinę, której nadał nazwę: Kłaczek. Wszelkie zaś chóry postanowił bojkotować na wieki wieków

Amen.

TADEUSZ ROMAŃSKI kl. VIII b.

Epopea ucznia.

Trrr... tr... r...r...r...

Nagłe nasunięcie kołdry na głowę.

Trrr... trrr... r...r...r... coraz uporczywiej słychać metaliczny głos dzwonka.

Przez miękkie fałdy kołdry można dostrzec ruch ciała (zdaje się ludzkiego), niecierpliwie przewracającego się na drugą stronę.

Trrr... trrr...

Spokój...

Trrr... trr... r... r...

...Cisza. Kołdra mięko otula postać śpiącego snem sprawiedliwych.

— — — — — — — — —

Franek! dla Boga! Smarkaczu nieznośny! Wpół do ósmej... a szkoła!?...

Wartkiemu potokowi słów wydobywających się z ust troskliwej matki, towarzyszy szereg bezpośrednio po sobie następujących odgłosów, powstałych przypuszczalnie przez nagłe zetknięcie się dwóch ciał stałych.

Długa postać w jeszcze dłuższej koszuli nocnej zsuwa się bez śladów już zaspania na zimne deski podłogi.

Gdzie buty!?.. woda!?... miednica!?..

Ach Boże! nikt mi nic nie usłuży!....

— — — — — — — — —

Tupot, hałas, plusk wody rozchlapywanej przez myjącego się — gulgot gorącej kawy przełykanej szybko — zgrzyt otwieranych drzwi i... macierzyńskie słowa otuchy „Ach ty nicponiu jeden! za 5 minut dzwonek na lekcję! Czekaj drabie! Jak tylko wrócisz!...

— — — — — — — — —

...Robaczek!... jest

Rybka!... jest

Smyk!... jee...

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę pustego miejsca.

...j...e...s...t..!

Nagłe poruszenie w klasie...

Pochylona, łysa głowa profesora powoli podnosi się z nad katalogu. Złowrogo i przenikliwie patrzą oczy z poza okularów pedagogicznych.

Franka oblał gorący rumieniec.

Jeest! wyjąkał jeszcze raz, ostatnim wysiłkiem woli, myśląc równocześnie o drżących liściach osiki, które chyba podczas największego wiatru nie drżały nigdy, jak teraz jego spodnie.

Powoli otwierają się usta znakomitego pedagoga i słowo po słowie jak grom przenika biedne serce struchlałego Franka.

Strączek! cedził powoli pedagog „zauważyłem, że od dłuższego czasu stale spaźniasz się do szkoły. Za karę“... zostaniesz po lekcjach i nauczysz się „Ody do Młodości“ Mickiewicza. A teraz marsz na miejsce!

Wypowiedziawszy te, tak ważne dla biednego Franka, słowa, zamilkł znakomity pedagog.

Ach! jakżeż długą wydawała się naszemu Frankowi mowa profesora. Odetchnął też, gdy usiadł wśród znanych ław, mogących być najlepszem świadectwem jego zdolności malarskich.

Pomijając już, że „oberwał“ dwóję z łaciny, przeszły mu lekcje naogół w spokoju. Ale ta dodatkowa godzina. Ba! żeby to godzina. Ale czy to za godzinę nauczę się tak długiego wiersza? A w domu? brrr... ciało jego pokryło się gęsią skórką. Obietnica matki, dana mu na odchodnem, zamroziła mu krew w żyłach i ostudziła chęć powrotu do domu.

— — — — — — — — —

Zegar wydzwaniał godzinę 2·30.

W dużej klasie, wciśnięta w ławę, pochylona nad otwartą książką, postać powtarzała monotonnie słowa Mickiewicza:

„Pryskają nieczułe lody
I przesądy, światło ćmiące...
Witaj jutrzenko swobody!
Zbawienia za tobą słońce“.

Nareszcie! Westchnienie ulgi wyrwało się ze znękanej piersi biednego Franka. Omal też, że nie krzyknął z wielkiej radości na widok wchodzącego profesora...

„Witaj! jutrzenko swobody“...

Wesoło wybiegł Franek z „budy“. Śpiewał niemal... W bezpośredniej bliskości domu zwolnił nagle kroku. Radość jego zamroziła obietnica matki. Br... brr... wzdrygnął się. Może lepiej nie wracać? Hm!...

I chciał się też już cofnąć, ale że był niekiedy (szczególnie w podobnych wypadkach) filozofem, wspomniał więc

tylko na znane łacińskie przysłowie, wlewające w ciężkich chwilach otuchę do zatrwożonych serc „Per aspera ad astra‘ i krokiem zdecydowanym (pozornie) wkroczył na schody.

Ostro zapukał do drzwi mieszkania.

Otworzyły się drzwi i na progu stanęła..! Dokładn e, to Franek właściwie nie wiedział kto; domyślał się tylko, całą bowiem uwagę miał zwróconą na przedmiot długi, giętki i cienki.

— — — — — — — — —

A to fatalny dzień! myślał Franek siedząc smutnie w pokoju zamkniętym na klucz przez troskliwego ojca. Siedział tak już od kilku godzin. Książki leżały coprawda rozłożone przed nim, ale gdzie jemu teraz do nauki..

Bo i jak można się w takich warunkach uczyć? Głód skręcał mu kiszki, nic bowiem dziś jeszcze nie jadł. Rano, śniadania, bo nie było czasu. obiadu też — za karę. A kolacja? daleka perspektywa. Smutnie też kiwał głową, a i usiedzieć nie mógł — wiadomo, po tem co się stało... Kiwał tak z żałości głową — kiwał — kiwał, aż wreszcie kiwnąwszy nią na piersi, zwyciężony przez znużenie — usnął.

Zbudziło go nagłe szarpnięcie za ucho. Franek! drabie jeden! próżniaku, leniu, to tak się uczysz? Co z ciebie będzie? Zaraz cię przepytam!

I znowu musiał się Franek obejść bez kolacji. Ale nic już na nim nie robiło wrażenia. Jako filozof począł dochodzić przyczyny tak feralnego dnia. „Lewa noga“? chyba nie. Zresztą — nie przypominam sobie. No — i niezgadł.

Gdy już kładł się spać, przypadkowo rzucił okiem na wiszący nad jego łóżkiem kalendarz.

Był to dzień 13 w miesiącu!...

Teraz już nie dociekał przyczyny niepowodzeń życiowych. Z uczuciem ulgi skłonił głowę na miękie poduszki i wkrótce głośne chrapanie dało znać, że usnął snem sprawiedliwego. Bo czyż to jego wina, że dzisiaj było trzynastego?...

Meteor.

Napisał
AL

Okna kawiarni ,,Metropol“ rzucały snopy światła na mokry asfalt, po którym sunęły nieprzerwane sznuy samochodów. Klaksony bezustannie rozrywały powietrze, dołączając się do ciągłego szumu wielkiego miasta. Fasady domów olśniewały setkami świetlnych reklam, starających się wszelkiemi sposobami wcisnąć do świadomości tłumów, tłoczących się po wąskich trotuarach. Oto nagle wykwitła naprzeciw na granatowym bloku potężnego gmachu strzała świetlna wskazując na krwistoczerwony napis: Generals-Motors. Obok migocze różnemi barwami gwiazda świetlna z żarówek neonowych: Phil-Radio. Głośnik ustawiony pod gwiazdą wypluwa chrapliwie melodję modnego slowfoxa. Po chwili — dziennik prasowy. Straszne trzęsienie ziemi na Kubie. Tysiące zabitych. Chiny. Wylew rzeki Jang-Tse-Kiang..

Znajdujący się naprzeciw w kawiarni młody dziennikarz siedział z twarzą wgłębioną w płachtę gazety. Przeglądał artykuły swego najgroźniejszego konkurenta S. Duhra, znajdując, że są to nędzne piśmidła. Wtem boy przerwał mu poniżanie uieobecnego przeciwnika, wołając do telefonu.

Hallo! — Co? — Meteor? — Olbrzymi? Już jadę.

W kwadrans później dziennikarz znajdował się wraz z trzema kolegami po fachu, oraz dwoma geologami, z których jeden był słynnym profesorem, w samochodzie pędzącym w stronę wsi Rachówka, w okolicach której miał spaść przed godziną olbrzymi

meteor. Po kilkunastu minutach jazdy byli na miejscu. We wsi panowało najwyższe podniecenie. Nikt nie spał. Przerażeni chłopi opowiadali szczegóły upadku meteoru: Zrobiło się oślepiająco jasno. Straszliwy huk wywołał ich wszystkich z łóżek. Ziemia zatrzęsła się pod nogami.

Przybysze ruszyli w stronę meteoru. Po godzinie drogi polną ścieżką, posługując się silnymi reflektorami kieszonkowymi, rozrywającymi ponure ciemności chmurnej nocy, dotarli do czarnego przedmiotu leżącego niby skała na zoranej ziemi. Byli u celu. Meteor! Sześć snopów światła zaczęło obmacywać łapczywie czarny kształt. Wielkość jego przechodziła wszelkie oczekiwania. Potężny blok conajmniej 2 metrowej wysokości spoczywał na ziemi, pokryty czarnym pokładem żużlu pozostałego po przedarciu się przez atmosferę.

Przystąpiono bliżej: Słynny profesor Zdarowski z coraz bardziej wzrastającem zdumieniem opukiwał i badał po zeskrobianiu warstwy żużlu, zapomocą lupy i skali twardości nieruchomy kształt.

Niesłychane! — mruczał pod nosem. Całkiem nie do uwierzenia. Wreszcie wyjawił głośno swoje zdumienie:

Panowie! Stoimy przed zjawiskiem epokowem! To, co tu znaleźliżmy, będzie zwrotnym punktem w dziejach świata! Stoimy, myślicie panowie przed meteorem. Meteorem zbudowanym z rud metali. Otóż nie! Mylicie się! Przed sobą mamy jednolity stop nieznanych mi metali. Stop jakiego natura nigdy sama nie wytworzy! I co najważniejsze: — W środku jest pusty, podczas gdy ściana we wszystkich punktach jest jednej grubości! Jednem słowem — stoimy przed dziełem człowieka, lub pokrewnej mu istoty! Mamy przed sobą gościa z zaświatów! Wóz międzyplanetarny! Być może, parę metrów od nas odległy, znajduje się twórca tego wozu, tu, w środku „meteoru“, oddzielony od nas zaledwie cienką, kilkudziesięciocentimetrową ścianką!

Zaległa grobowa cisza. Twarze obecnych w widocznem świetle reflektorów wykazywały najwyższe zdumienie. Wszystkie oczy z natężeniem wpatrywały się w tajemniczy meteor. Ciarki przechodziły wszystkich na myśl, że być może, tu, w bezpośredniej blizkości żyje jeszcze mieszkaniec innej planety, jakaś potworna istota o trzech głowach, lub nie posiadająca głowy wogóle, lub może zbudowana tak jak człowiek?

Dręczącą ciszę przerwał głos profesora: Do pracy! Starajmy się jaknajprędzej dostać do środka. Musimy sprowadzić świdry.

Tymczasem rozpoczął padać deszcz. Niezwykły deszcz. Krople były tak duże, że zostawiały na ziemi ślady talarów. Po chwili deszcz przeszedł w ulewę. Woda lała się wprost strumieniami. Zdawało się, że niebo wspiera się na olbrzymich słupach wodnych. A na polu stała się rzecz straszna: Meteor rozgorzał w jednej sekundzie potwornie jasnem światłem. Nastąpił wybuch tak okropny, że w mieście oddalonem o 8 kilometrów w tysiącach okien wyleciały szyby. Straszliwa siła rozerwała meteor w strzępy.

* * *

Nazajutrz dzień wstał cichy, mokry. Naród opłakiwał śmierć słynnego profesora i czterech dziennikaray, których ciała znikły bez śladu, jak również ciała chłopów i tajemniczy meteor. Słynni profesorowie pytani o przyczynę katastrofy rozkładali ręce. Jeden tylko podał hipotezę możliwą do przyjęcia. Prawdopodobnie w skład budowy meteora wchodził w znacznych ilościach potas, jakkolwiek się to dotychczas nigdy nie zdarzało. Potas ten podziałał na wodór, którego olbrzymie ilości znajdowały się obok i wywołał katastrofę.

?

Napisał Ktoś!

Nawet w życiu człowieka z takiem zamiłowaniem poświęcającego się nauce (?!) i z takim zapałem zagłębiającego się w najskrytsze arkana wiedzy jak ja, (!!!) są pewne chwile, kiedy mózg znużony rozwiązywaniem szeregu zagadnień filozoficznych i problemów życiowych, frapujących w najwyższym stopniu ludzkość całą, znajdzie chwilę wytchnienia i szuka krótkiej choćby rozrywki, godnej tak poważnego umysłu. A ciało przez długi czas trzymane hartem woli na wodzy, aby nie dało upustu swym namiętnościom, o charakterze tak niskim i prozaicznym znajdzie minimalny wypoczynek, oddając się dobrowolnie w objęcia Morfeusza, który myśli skołatanej głowy, pochylonej nad dziełami filologicznemi (Bellum Jugurthinum), uskrzydla i przenosi w krainę marzeń i fantazji. Lecz precz z Morfeuszem! Niech odrzucony przez człowieka, umiejącego panować nad sobą, idzie uskarżać się na swą dolę między niebian na Olimpie! Szkoda życia tak krótkiego, a zarazem tak cennego marnować, poświęcając choćby drobną jego cząstkę na sen. Istnieją chyba bardziej pożyteczne i obfitsze w swych plonach sposoby zużytkowania wolnych chwil czasu. I znowu mój głęboki jak ocean (ze względu na wielką ilość zawartego w nim związku wodoru i tlenu) umysł, zaczął pracować nad wyszukaniem stosownej rozrywki. Ale w tem sęk, że z wyszukaniem takiej rozrywki napotyka się na niebylejakie trudności. Rozrywki doby obecnej niestety są pozbawione wszelkich wyższych i szlachetniejszych celów i obliczone są przeważnie na zysk i zaspokojenie najprymitywniejszych wymagań. A jeśli już znajdziemy dla siebie jakąś prawdziwie pożyteczną rozrywkę, to czynienie zadość naszemu wymaganiu, odciąża poważnie naszą kieszeń, w której przeważnie w dzisiejszej dobie kryzysu płótno nosimy. Niech mnie ktoś tutaj nie posądza o skrajny materjalizm! Broń Boże! Materjalistą nigdy nie byłem i nie jestem!

Wśród mych rozważań nad tak poważnym tematem wpadłem na dość niefortunny, jak się później okazało pomysł, uprzyjemnienia sobie chwil, słuchaniem radja. Kocham muzykę! Kocham — jako element wyrabiający w człowieku poczucie piękna, jako czynnik kształcący i uszlachetniający. Muzyka jest dzisiaj żywiołową siłą, przenikającą bez trudu w najgłębsze warstwy ludności, zaspokajającą w najszerszym zakresie estetyczny głód mas. W istocie, daremniebyśmy poszukiwali w dziedzinie innych sztuk pięknych tej powszechności i bezpośredniości oddziaływania, jaka jest właściwa muzyce. Muzyka potrafi oderwać mnie od nagiej i przykrej rzeczywistości, szarości życia codziennego i wznieść mą duszę „nad poziomy“, w atmosferę piękna i ideału. Żądny tej prawdziwej, jaką może dać usłyszenie naprawdę dobrej muzyki, o wysokich walorach artystycznych, włożyłem na uszy (eheu me miserum!!!) słuchawki. Z początku panowała niczem niezmącona cisza, potem charkot, jakgdyby wydobywający się z krtani człowieka, żegnającego się z tym padołem łez i płaczu, potem podobne do gwizdu i szumu nadchodzącego tajfunu świsty — a wkońcu — cisza. Nagle w słuchawkach zadźwięczał znany, o, jak dobrze znany wszystkim radjosłuchaczom, głosik pani Leny, która z dziwnem szyderstwem w tonie, jakgdyby pastwiąc się nade mną biedakiem, mówiła: „Hallo, polskie radjo Kraków. Za chwilę p. X. Y. z Warszawy wygłosi odczyt“. O! jakiż przykry zawód spotkał mnie w tym momencie, kiedy poetycznie nastawiony, spodziewałem się usłyszeć coś, coby

mi pozwoliło zapomnieć o teraźniejszości i o „niewykutych“ lekcjach!

Nauczony doświadczeniem, postanowiłem już więcej nie ryzykować i wpierw z rozwagą przeglądnąć „Ra“. W myśl starej sentencji łacińskiej: „Quidquid agis, prudenter agas et respice finem!“.

Ktoś.

Kronika.

Z początkiem grudnia 1933 roku odbyło się w sali klasy VIIa ożywione Zebranie dyskusyjne „Zewu“. Przemawiał p. dyrektor M. Chojna. Na zebraniu ustalono obowiązki i funkcje delegatów klasowych (kolportaż „Zewu“ oraz zbieranie materjału i dostarczanie go na ręce Komitetu redakcyjnego.

Dnia 2 XII. 1933 na lekcji pierwszej i drugiej odczytane zostały referaty w związku z rocznicą powstania listopadowego. Dla klas wyższych czytał kol. T. Bylicki (VIIa) zaś dla niższych kol. St. Pagaczewski (VIIIa).

Dnia 1 II. 1934 r. Uroczysty i dla każdego serca polskiego tak drogi dzień imienin Najwyższego Dostojnika państwowego P. Prezydenta Dr. Ignacego Mościckiego, obchodziło gimnazjum nasze szczególnie uroczyście. Pochód ze sztandarem i orkiestrą na wspólną Mszę św. do kościoła św. Anny, następnie starannie przygotowany poranek jest tego dowodem

Co do samego programu poranku, to na uznanie zasługuje świetna i wprost porywająca gra orkiestry symfonicznej naszego zakładu pod batutą p. Pileckiego.

Dnia 11 II. Celem przyjęcia z pomocą niezamożnym uczniom Komitet Rodzicielski przy naszym zakładzie zorganizował koncert w „Złotej Sali“ Domu Katolickiego, łącząc piękne z pożytecznem. Koncert udał się znakomicie. Program był świetny w wykonaniu orkiestry symfonicznej naszego zakładu oraz solistek i solistów proszonych z poza gimnazjum.

W dniach od 5/III. do 8/III. włącznie uczniowie wszystkich klas zakładu odbywali św. rekolekcje. Nauki wygłaszał przewielebny ks. Dr Van Roi, którego pogodne i zawsze uśmiechnięte oblicze i słowa pełne dobroci i przyjacielskiej miłości porywały nasze serca i kazały nam gardzić temc o niskie, a uwielbiać co czyste i piękne. Rekolekcje zakończono spowiedzią św. w Kościele OO. Dominikanów i wspólną Komunją św. w dniu następnym w kościele św. Anny.

Czasopismo „Zew“ wychodzi raz na dwa miesiące. — Wydawnictwo „Samorządu Szkoln. przy Państw. Gim. IV. w Krakowie ul. Krupnicza L. 2. Pismo redaguje Komitet Redakcyjny w składzie: Tadeusz Ogorzały, Juljusz Warski, Stanisław Pagaczewski pod kierownictwnem prof. Dr Stefana Znamirowskiego.

Drukarnia „Fortuna“ Kraków, Lubicz 13.